Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Cietrzew na tokowisku. Fot. Konstanty Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 18 (673) 30 KWIETNIA 1932 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej w Spale. Fot. St. Dąbrowski.

ETYKA, ESTETYKA I UTYLITARYZM W ŁOWIECTWIE.

Chylący się ku upadkowi pęd do zmaterjalizowania wszelkich, najdrobniejszych, a często i nic nie znaczących, darów natury podkopał w dużej mierze i zniweczył owe najpiękniejsze dążenia, któremi chlubi się kultura człowieka.

Że tak jest, dość zajrzeć do naszych i obcych pism fachowych, starających się wykazać cyframi (najbardziej do współczesnych przemawiającemi znakami) użytkową wartość gospodarstwa łowieckiego.

Stoimy pod hasłami ekonomicznemi i z tego punktu widzenia staramy się rozstrzygnąć wszelkiego rodzaju zagadnienia, które kryją w sobie pierwiastki innych wartości o jakich zapominać nie wolno, a które nakłonić i podporządkować wygodniejszym dla nas kierunkom usiłujemy.

Bardzo wiele pisano już na temat określenia, czem jest łowiectwo i do jakiej ze znanych i uznanych dziedzin należy je zaliczyć.

O ile pamiętam, rozpisywano nawet w tej kwestji ankietę, ale pomimo tego tendencje do ujęcia myślistwa w ścisłe ramy użytkowości nic się nie zmieniły.

Nie mam zamiaru dowodzić, że fakt podporządkowania referatu łowieckiego w Ministerstwie Rolnictwa działowi t. zw. wytwórczości zwierzęcej, w naszym ustroju administracyjnym nie jest zbyt trafny wszakże i ten wskazuje na specyficzny pogląd o istocie myślistwa, z którem dotychczas nie wiemy, co zrobić i jak je zaklasyfikować.

Może najłatwiej byłoby uzasadnić artystyczne walory myślistwa i tą drogą ostatecznie uchylić niedoskonałe traktowanie sprawy, która nas tak bardzo blisko obchodzi, ale wpierw musimy, sami wśród swoich, pokazać, że na miano artystów, na miano ludzi, obdarzonych dużą dozą wrażliwości, zasługujemy.

Tymczasem pokazać tego nie umiemy.

Wprawdzie rozpisujemy się ciągle, szczególniej w dziale beletrystycznym, o pięknie, spływającem na synów Ehusa, ale w praktyce, w życiu pozwalamy sobie na postępowanie, zaprzeczające wprost prymitywnym wymaganiom (niesłusznie zwanego) humanitaryzmu.

Pierwiastek walki naturalnej nie może być uwzględniony przy użyciu Mannlicher'ów, Purdey'ów i miotaczy Browning'a. Na to się zgodzić musimy.

Za wzór prawidłowych myśliwych nauczyliśmy się uważać Niemców, bo ogólnie i w innych dziedzinach przyzwyczailiśmy się zapożyczać zbyt wiele od ob-

cych, jakbyśmy zupełnie byli pozbawieni rodzimej indywidualności, jakbyśmy samochcąc nie życzyli sobie zdobywać przodujących miejsc, ale z reguły chcieli kroczyć po drogach, utartych przez obcą cywilizację.

Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, czy jednak wszystkie naleciałości zachodu są godne bezkrytycznego naśladownictwa, i mam wrażenie, że nie jestem w błędzie, dając na to pytanie odpowiedź negatywną.

Oto np. brutalna cywilizacja „kulturtrager'ów" przyjęła w myślistwie sztylet, a raczej instrument, bardziej do naszego kozika podobny, którym Niemcy dobijają ranionego rogacza, lokując ostrze tego, par excellence rzeźnickiego, narzędzia tuż za kością potylicową stworzenia, mającego dostarczać niby pięknych wrażeń.

Rzekomo podstawą do rozgrzeszenia z tego przykrego, a przymusowego czynu ma być troska, wywołana jedną z zasadniczych podstaw ekonomji — oszczędnością (mięsa i nabojów).

Twierdzenie takie może mieć swoje uzasadnienie tylko przy „gospodarczem" strzelaniu zwierzyny, przeznaczonej na sprzedaż, do czego są powołani niżsi funkcjonarjusze służby łowieckiej, ale nie może być o niem mowy, nie wolno o niem wspominać, gdy w grę wchodzi myślistwo.

Myśliwego, którego stać na to, aby spudłował nie jeden raz w życiu, sezonie i dniu, stać też na dobicie ranionej sztuki, z bliskiej odległości, drugą kulą.

Samo zranienie już jest wielką przykrością dla szlachetnego łowcy, a dobijanie ręką grubszej zwierzyny stanowiłoby odrażającą męczarnię.

To nie jest sport taki, jak np. kłucie dzików kordelasem, gdyż w podejściu i przytrzymaniu unieruchomionej sarny o ryzykowaniu życiem nikt nie myśli, a przecież takiej czynności, ani do zabawy rycerskiej, ani do „wyczynu" sportowego zaliczyć nie można.

Inna znów, równie dla kulturalnego człowieka przykra scena — to polowanie z jamnikiem na młode lisy.

Dlaczego nazywać to polowaniem.

Wszakżeż pierwiastek artystyczny jest tak zmajoryzowany przez niemiły widok duszenia bezbronnych jeszcze lisiąt, że przewaga przykrości, stąd powstającej, głuszy z sowitym naddatkiem wszystko, co mogłoby być nazwane przyjemnością.

Tak samo przedstawia się sprawa czystej już funkcji użytkowej, za jaką należy poczytywać niszczenie drapieżników.

Nie przebieramy w środkach, aby dopiąć celu, który w naszych warunkach klimatycznych, terytorjalnych, administracyjnych i etnologicznych, oraz z punktu widzenia najnowszych zdobyczy naukowych, należałoby jeszcze postawić pod znakiem zapytania.

Chwytanie jastrzębi i czworonogów w żelaza, druzgocące kości, nie jest podyktowane koniecznością, której przy dobrej woli, staraniach i minimalnym nakładzie nie dałoby się usunąć.

Widok przychwyconego w stalowe i ostre zęby gołębiarza ze strzaskanemi nogami i połamanemi, powykręcanemi przez uderzenie sprężyny skrzydłami, widok tego stworzenia, które człowiek zakwalifikował do swoich wrogów, jakże często podaje się do oglądania, jako piękne zdjęcie fotograficzne.

Jako myśliwy i jako hodowca nie występuję w obronie gołębiarza, chodzi mi jedynie o system, o środki tej walki, która w prawidłowych, intensywnych gospodarstwach prowadzona być musi.

A jakżeż łatwo uniknąć tych środków, niewłaściwych dla dzisiejszego poziomu kultury zachodnio-europejskiej.

W życiu myśliwskiem istnieją przykre momenty i różne przykre, a mnóstwo refleksyj nasuwające widoki, których nie da się uniknąć, dla tych czy innych przyczyn, ale powinniśmy dążyć do uszlachetnienia naszych pojęć wszelkiemi, możliwemi do wyzyskania, drogami.

To, co licuje z psychologją teutońską, niekoniecznie musi być gloryfikowane przez Sarmatów, jako coś idealnie słusznego.

Organizacja i rozrost naszego życia łowieckiego, przy dwa razy mniejszem zaludnieniu, niż w Niemczech, przy pewnym wykwincie myśliwskich pożądań i uciech, — może, powinna, musi wytworzyć własną, niezależną od cudzych wpływów estetykę łowiectwa.

Już nie od dziś psychika polska żżyma się na niektóre metody walki, stosowane przez zachodnich sąsiadów, czy to w czasie wojny, czy w dziedzinie militarnej, czy w walce z trudnościami natury ekonomicznej, czy wreszcie we współzawodnictwie narodów na odcinkach sztuki i wiedzy.

JERZY DYLEWSKI.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy.)

Znowu cisza. Prąd powietrza musnął po twarzy: to ogromny nietoperz na widmowych skrzydłach wypadł z zarośli, niepostrzeżenie przeleciał tuż obok mojej głowy i znikł; za nim wzbił się w powietrze drugi i obydwa, to znikając, to pojawiając się niespodziewanie i bezszumnie, poczęły zataczać kręgi nisko nad powierzchnią brodu, pionowo wznosić się do góry i kreślić cudaczne zygzaki nad koronami drzew. Gdzieś z głębi lasu niosło się zajadłe, chrapliwe ujadanie psa. Od dołu szły ciemności; wolno rozpełzały się, ogarniały przyziemie, tuszując kształty przedmiotów i wytrwale podnosiły się wzwyż. Środek brodu jeszcze lśnił nieruchomą, połyskującą stalowym blaskiem taśmą, gdzieniegdzie poplamioną czarnemi ułamkami cieni conajwyższych drzew; boki, koloru zastygłej smoły, dymiły się lekkiemi, białoszaremi obłoczkami błotnych wyziewów. Sklepienie nieba jaśniało opalową, rozlewną jasnością. Prawie jednocześnie rozległy się miłosne wołania nadciągających z przeciwległych stron powietrznych kochanków i dwie słonki majestatycznie wypłynęły z poza ścian lasu. Szybko następujące po sobie, w prawo i w lewo, strzały zwaliły obie: jedną na środek brodu, a drugą na drogę. Spłoszony echem strzałów rogacz „zaszczekał" gniewnie w zaroślach. Jak na komendę, ustał żabi koncert. W pobliskich gąszczach odezwały się jakieś trwożliwe szepty i ledwie dosłyszalne szmery. Zawadzki, odważnie gramoląc się do wody, poszedł podnosić zabite ptaki. Z poza zakrętu drogi wynurzyła się zbliżająca się do brodu fura, wypchana okazami starej semickiej rasy, podążającymi do m. Maniewicz. Wprost na jej spotkanie śmignęła z haszczy milcząca słonka, goniona zaciekle ze swoistym gwizdem przez drugą. Strzeliłem pierwszą tuż nad głową Zawadzkiego, druga zaś dała nura w powietrzu, zamajaczyła na jednej linji z brodatą twarzą żydowskiego woźnicy, mignęła w piruecie poprzez głowy przestraszonych strzałem, szwargocących namiętnie pasażerów i sczezła w zaroślach. Nie zdążyłem zamienić wystrzelonej gilzy na nowy ładunek i odpowiedzieć na grzeczne powitanie żydów, gdy chrapanie lecącej po drugiej stronie brodu słonki i jej ciemna sylwetka na tle naraz pożółkłego nieba zmusiły mnie do strzału. Strącona dalekim strzałem spadła na piaszczysty pagórek, pozbawiony zarośli. Z czterech zestrzelonych słonek podniósł Zawadzki trzy, tej zaś, która z dubletu spadła na drogę, odszukać nie mógł. Ciemność zwiększała się, gęstniała. Firmament zabarwił się jednolitą, żółtawo-szarą barwą. Płaszcz ciszy uśpienia coraz szczelniej otulał cały krajobraz i ani prychanie koni przy furmance, ani żałosne, jękliwe hukanie sowy, ani donoszące się z oddali przytłumione dźwięki rozmowy jakichś przechodniów, podążających do brodu, — nie mąciły świadomości, że ogrom ciszy jest nienaruszalny. Zapaliłem papierosa i w tym momencie zobaczyłem słonkę. Widocznie dostrzegła błysk zapalonej zapałki, raptownym rzutem skrzydeł skręciła na miejscu w tył i dognana strzałem, spadła w największe gąszcza. „Tej dziś nie odnajdziem" — oświadczył z żalem Zawadzki; — „pociemku dojść tam nie można, bo dużo wody... o, o proszę pilnować!". — Nad naszemi głowami z głośnem ćwierkaniem przeciągnęła słonka. Trafiona źle o sekundę spóźnionym strzałem, ukośnie spadając, umiejscowiła się tam, gdzie i poprzednia. „Szkoda! i ta przepadła" — rzekł mój „aporter" — „postoimy jeszcze, czy co?". „I owszem" odparłem, „mam jeszcze w lufkach jeden nabój". Staliśmy. Dalekie echo odezwało się odgłosami strzałów: jednego... drugiego... trzeciego. „To u nas na Niemieckiej drodze; któż to może być? Aha! to napewno pan K. z towarzyszami wraca do Łucka z Karasina" — medytował Zawadzki.—Pan K.„ alias „diadia Wołodia", znany na cały Wołyń i Polesie myśliwy, słynny znawca poleskiej fauny, pogromca duszy i ciała „poleszuckich ludków", przepyszny typ prawdziwie męskiej urody i tężyzny, przemiły kompan i niebezpieczny, niezwalczony przeciwnik za biesiadnym stołem, takoż uległ pokusie, roztaczanej czarem wieczornym i probował dorywczego szczęścia. Dołem było już zupełnie ciemno. Para przechodniów zbliżyła się do nas, pozdrawiając „pochwalonym". On — tęgi, barczysty w wieku średnim polonus, z zarzuconemi na plecy butami, ona — hoża, wysmukła, łyskająca oczyma i białemi zębami w uśmiechu, młoda dziewoja, trzymająca w ręku pantofelki wraz z pończoszkami. Bez żenady podebrała wyżej kolan spódniczkę o krok ode mnie i świecąc białemi nogami, śmiejąc się i odcinając żartem na mój żart, podtrzymywana przez niego odważnie forsowała ciemne czeluście brodu. „Nasi z kolonji" — objaśnił mnie Zawadzki. „Zobaczymy, czy się sprawdzi osławiona moc pokazanego kolanka" — uśmiechnąłem się w duchu. Zarysy wierzchołków drzew zlały się w jedną, czarną masę. Na niebie rozbłysła i zamigotała seledynowo-srebrnem światełkiem gwiazda wieczorna (Venus). Słychać było chlupanie wody pod nogami brodzącej pary i cichy chichot dziewczyny. Zachrapała ostatnia słonka, lecąca dość wysoko wprost na nas. Ugodzona śrutem od strzału na sztych, z rozpostartemi skrzydłami, wirując w powietrzu, jak liść klonu, splanowała nam pod stopy. „Dziękuję za kolanko" — krzyknąłem rozbawiony w ślad za oddalającą się parą. „Niech panu na zdrowie służy"—wesoło odrzuciła dziewczyna i śmiech swawolny potoczył się perłami przez wodną powierzchnię bagna, odbił się od ścian lasu, dopadł do mnie jakimś serdecznym, ciepłym podmuchem i rozpłynął się w ciemniach uroczyska.

* * *

„Czy w śmierci obliczu, czy w chwilach radości —
przez życia bieg cały składamy Jej dań
z tęczowej gry uczuć, z bezmiaru czułości,
ze smętku, tęsknoty, z szaleństwa i z łkań...".

Kamerher dworu cara, pan B., oprócz ogromnych latifundji w centralnej Rosji i na Uralu, posiadał rozległe dobra na Kijowszczyźnie i Podolu.

Nie miał w sobie nic jowiszowego, chociaż zawsze nazywał swoją małżonkę „moja Junona".

W towarzyskiem pożyciu był jowialnym, krotochwilnym i przyjemnym w obejściu starszym panem. Nie należał do polakożerców, a jego przysłowiowa gościnność i szerokość gestu zjednywały mu ludzkie sympatje i gromadziły w podwojach wspaniałych salonów liczne zastępy petersburskiego towarzystwa. Może z powodu swego stanowiska przy dworze i związanej z tem konieczności stałego pobytu w stolicy, nie nabył dużej wiedzy łowieckiej, strzelał jednak nieźle, uważał siebie za wybitnego myśliwca i rok rocznie urządzał na swych obszernych terenach kilka wielkich polowań. Polowania te odznaczały się więcej luksusem przyjęć i ścisłem przestrzeganiem schematu odprawiania wzorowych łowów, niźli prawdziwym urokiem łowów dla łowów.

Chociaż lubił powtarzać, że każdy adept łowiectwa już w swojem założeniu jest porządnym i dobrym człowiekiem, jednak stosowanie tego poglądu in gremio od uczestników „wielkich" polowań, przeważnie przedstawicieli najwyższej biurokracji rosyjskiej, pozostawiało dużo do życzenia. Pan B. doskonale zdawał sobie z tego sprawę i od czasu do czasu deleklował kółko uprzywilejowanych tak zwanemi przez niego „małemi polowankami" na grubego zwierza, których wyniki zawsze były zadowalające. Byłem zaliczony w poczet wyjątkowych wybrańców, posiadających prawo samodzielnego korzystania z uciech łowieckich na terenach wszystkich włości pana B., który przy każdej sposobności okazywał „swemu miłemu, dużo obiecującemu, młodemu przyjacielowi" szczerą sympatję. Nie posiadałem, niestety, nawet cienia przyjaźni młodszej o dwadzieścia kilka lat od małżonka, urodziwej pani B. Odwrotnie, wyniosła piękna pani, o łabędziej szyi, posągowych kształtach i dumnem obliczu, okazywała mi w bezpośredniem obcowaniu wyszukane formy grzeczności, poza tem zaś jakby nie chciała wiedzieć o mojem istnieniu. Bawiło to niezmiernie pana B., który nieraz pozwalał sobie na żartobliwe, zależnie od humoru zmieniające się opowieści o tem, jak i za co „boska Junona" znienawidziła Bogu ducha winnego Eneasza. Na często zbyt frywolne żarty małżonka, niewzruszona zda się pani, reagowała tylko pobłażliwym uśmiechem wiśni swych nieco za pełnych ust. Ja zaś, w ledwie dostrzegalnem kurczeniu się sobolich brwi i w przelotnym stalowym błysku spojrzenia zielonych, jak morze, i zimnych, jak otchłań morska, źrenic, dostrzegałem wyraźną do mnie niechęć i starannie ukrywane niezadowolenie. Nadomiar, powiadomiony byłem poufnie przez dobrze dla mnie usposobioną bliską „przyjaciółkę" pani B. o zdaniu tej ostatniej, że jestem „hardy, zarozumiały i nieokiełzany młodzik, który zasługuje na dobrą nauczkę", a więc nie miałem najmniejszej ochoty łaknąć towarzystwa mojej zdeklarowanej antagonistki i ubiegać się o jej łaskawe względy, tembardziej, że częste korzystanie z uprzejmości właściciela rozrzuconych niemal po całej europejskiej Rosji terenów łowieckich bynajmniej nie kolidowało ze szczerem życzeniem unikania dziwnie uprzedzonej do mnie ich współwłaścicielki.

Pewnego dnia, po powrocie z kilkudniowej wyprawy na Majakskie limany, zastałem dwa listy, pisane w języku rosyjskim: jeden obszerny od pana B., drugi zaś króciutki od jego wspaniałej małżonki. Byłem zaskoczony nie treścią listów, lecz niepraktykowaną dotychczas przez panią B., uprzejmością na odległość.

List pana B., zredagowany w zwykły żartobliwy sposób, w skróceniu był mniej więcej takiej treści: „Mój miły, młody przyjacielu! Z B. C. sygnalizowano mi o nadzwyczajnych ciągach słonek. Poważne sprawy nie pozwalają mi na wykorzystanie darów wiosny, a wyłączne zastępstwo mych uzdolnień strzeleckich mogę przekazać tylko Tobie. Proszę więc serdecznie, abyś je przyjął i pośpieszył do B. C. Żadnych wymówek nie przyjmę. Wszystkie potrzebne zarządzenia już wydałem i cała ludność B. C. z niecierpliwością oczekuje na Twe przybycie, czego nie powiem o słonkach. Wybacz, że się wstrzymuję od wydania rozkazu wystawienia na Twoją cześć triumfalnych bram i palenia beczek smoły, lecz czasy są ciężkie, znana mi jest Twoja skromność, no i jesteś młody, a więc możesz jeszcze poczekać. Za ten zawód masz



Zawadzki zadowolony... Fot. gen. St. Skrzyński.

rekompensatę: moja Junona ofiarowała się w przejeździe do Jałty wpaść na dobę do B. C. i urządzić Ci godne przyjęcie. Jak widzisz królowa wszystkich obojga płci bogów nie zawsze jest niełaskawą dla zwykłego śmiertelnika. Ale bez żartów! Nie bój się mój miły! będziesz absolutnie sam. Junona za żadne skarby nie zatrzyma się w B. C. dłużej nad dwadzieścia cztery godziny, a nikt inny obecnie tam nie bawi. Słowem poczyniliśmy starania, aby Ci nikt nie przeszkadzał i abyś się czuł, jak w domu, w najszerszem tego określenia znaczeniu. Zaklinam Cię wszakże na Twych cnotliwych przodków, abyś hamował cechujące młodość zapędy krwi i oszczędzał kruchą cnotę naszych młodocianych służebnic, gdyż, z jednej strony nie starczy mi moich skromnych funduszów na opłacanie alimentów za Twoje erotyczne wyczyny (przypomnij sobie zalety Eneasza, który tak dodatnio przyczynił się do zaludnienia Kartaginy), a z drugiej — nie mogę się zgodzić na to, aby wybitne zasługi innego były mnie przypisywane. Więc nie namyślaj się, nie marudź i w drogę. Nie życzę Ci powodzenia, lecz chciałbym, abyś użył jak najwięcej roskoszy strzelania do słonek. No, pal go licho! — Jeśli tam która krasawica specjalnie wpadnie Ci w oko, to... rozgrzeszam... tylko nie za bardzo i nie zanadto".

Liścik „boskiej Junony" brzmiał:

„Dziś wyjeżdżam. Stosując się, Szanowny Panie, do życzenia mego męża, wydam służbie odpowiednie zarządzenia. Prawdopodobnie nie będę miała przyjemności osobiście gościć Pana, gdyż mam zamiar zabawić w B. C. tylko od pociągu do pociągu. Odmowa przyjazdu zasmuci mego męża i sprawi mu przykrość. Proszę zadepeszować, a konie będą oczekiwały na stacji".

Obliczyłem daty. Stanowczo groźna osóbka już się znajduje w Jałcie. Mając kilka dni wolnych, zdecydowałem się skorzystać z zaproszenia. Wystosowałem odpowiedni list do pana B. i nadałem depeszę do B. C.

W ciągu kilkunastu godzin jazdy koleją od miasta O. do B. C., łamałem sobie głowę nad rozwiązaniem zagadnienia: do jakich sposobów zmuszony był uciec się pan B., aby nakłonić swoją małżonkę do przerwania jej podróży dla błahego celu sprawienia mi przyjemności i jakie pobudki skłoniły nieugiętą w przekonaniach „boginię" do napisania listu pod adresem tego, o którym zdanie miała wręcz ujemne. W każdym razie odczuwałem błogie zadowolenie z tego, że „pozbawiona będzie przyjemności osobiście mnie gościć".

Jakże byłem speszony, gdy stary lokaj Porfiry, po ulokowaniu mnie w przeznaczonym pokoju, zameldował, że jaśnie pani oczekuje mnie z obiadem?! Ha, trudno! — Musiałem podporządkować się złośliwemu kaprysowi losu. Po usunięciu śladów podróży, pokrzepiony raptownie przypomnianą strofą przepowiedni „na lwa srogiego bez obrazy wsiądziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz", z otuchą ruszyłem w paszczę lwa, przepraszam, na nieuniknione spotkanie w każdym bądź razie z niepospolitą kobietą.

Obiad upłynął w zdawkowej rozmowie o wszystkiem i o niczem, a moje nędzne wysiłki nadania jej błyskotliwości, dobrego humoru i skierowania na tory większego zainteresowania marły w zarodku pod spojrzeniem bezdennych oczu i znikały, jak westchnienie, w uprzejmej obojętności słuchaczki. Lodowaty chłód zakradał się pod czaszkę i mroził wysiłki mego torturowanego mózgu, a tępa świadomość, że nie tak to łatwo jeździć na ogromnym smoku, gnębiła niemiłosiernie. Zrezygnowałem ostatecznie z próby wykrzesania chociażby iskierki wesołości z kamiennej istoty i z utęsknieniem oczekiwałem końca obiadu. Wstałem od niego ostatecznie dobity. Mój urodziwy kat raczył oświadczyć, że będzie mi towarzyszył na znane mu miejsce ciągu, gdyż chce wypróbować aport swego Lorda — zresztą bardzo ładnego setera laweraka. Pogrążony w czarną melancholję straconych korzyści, starałem się zapewnić ironicznie uśmiechniętą dręczycielkę o mojem nadzwyczajnem zadowoleniu z takiego obrotu rzeczy i nadrabiając miną, z rozpaczą w duszy, udałem się do swego apartamentu. Ciarki chodziły mi po skórze od przeświadczenia, że natychmiastowa ucieczka jest niemożliwą, że ratunku znikąd oczekiwać nie mogę i że jestem nieodwołalnie skazany na dźwiganie, conajmniej przez trzy dni ciężaru prawda nie lwa, lecz przepysznej lwicy, która tak nieoczekiwanie na mnie „wsiadła" i harcować będzie ad libitum. Przed wieczorem fertyczna pokojówka, z udaną skromnością skubiąc koniec fartuszka, powiadomiła mnie o tem, że we „wschodnim pawiloniku" oczekuje z herbatką jaśnie pani i prosi, abym wziął ze sobą broń. Ani widok milutkiego buziaka zalotnie strzelającej oczkami subretki, ani przedsmak wrażeń bodaj najbardziej nastrojowego polowania na ciągach słonek—nie zmniejszyły mego przygnębienia. Skwaszony podążyłem na wezwanie.

(D. n.). STANISŁAW SKRZYŃSKI.

PIERWSZE SŁONKI.

Na stanowisku, przytulona do młodego drzewka na skraju brzozowego zagajnika, łączącego się z małem błotkiem leśnem, stała Janka, wyczekując na słonki. Wiosna niedawno dopiero wstąpiła w swe prawa. Krajobraz ze śnieżno - białego przeistoczył się w pstry i błotnisty. Śnieg stajał i zaledwie po rowach, lub w zaroślach leżały nieliczne, brudne jego kupy. Rzeka, pozbawiona lodowej powłoki, leniwie toczyła mętne i wezbrane nurty, zatapiając pobliskie lasy, łąki i zarośla. Na pokaleczonych i odartych z kory przybrzeżnych krzewach ciążyły porzucone bryły lodu, jak też i jakieś deski, kawałki drzewa, oraz naręcza trzcin i sitowia. Jasne promienie słońca suszyły przemokniętą glebę, która miejscami zaczynała się już okrywać bladą, nieśmiałą zielonością. Ale drzewa stały jeszcze nagie, z mocno nabrzmiałemi pączkami, wyciągając swe konary ku światłu.

Zapadał zmierzch. Janka z rezygnacją spoglądała na zabłocone cholewy butów, to znowu lustrowała okiem czubki brzózek, spodziewając się ujrzeć wkrótce na ich tle sylwetkę ciągnącej słonki. Obok, w szarej samodziałowej kapocie, stał stary leśnik, imieniem Klemens, a pieszczotliwie „Klimukiem" zwany, pozyskany przez panienkę na to polowanie przywiezionym z miasta tytoniem. Klimuk nie lubił łowów, w których brały udział kobiety. Dziś jednak widocznie zadowolony z prezentu, a przytem dzięki temu, iż Jankę darzył szczególniejszą sympatją — był w dobrym humorze i wszczął ze swą towarzyszką przyciszoną rozmowę.

— Miejsca tu sama dobra, wraz lecieć poczno — odezwał się charakterystyczną dla ludu Wileńszczyzny mową.

— Tak myślicie, Klemensie, — powątpiewała panienka.

— Nu jakże! Jaż wiem. Bywa ciągnie dziesięć sztuk i więcej. A dziś pogoda sama ta, tylko panienko uważać prosza, a to śmignie ptaszka kole drzew, że drugo razo i nie zobaczysz. —

Panna milczała. W umyśle jej, jak natrętne muchy, wirowały wciąż jeszcze wspomnienia z niedawno opuszczonej pensji, twarze licznych koleżanek, karnawałowe baliki i flirty. Ale pociągała ją i natura, zwłaszcza teraz, na wiosnę, gwałtownie budząca się do życia. To też obecnie, w czasie feryj wielkanocnych, postanowiła spróbować opiewanych w literaturze ło-

wów na ciągnące słonki. Wprawdzie ojciec odniósł się do jej projektu dość sceptycznie, a brat stanowczo odradzał — opowiadając o strasznem błocku i zimnej wodzie, lecz ostatecznie, dzięki usilnym prośbom, wyprawiono ją do lasu, w towarzystwie oddanego jej całą duszą leśnika.

Zmrok gęstniał. Dalsze pnie drzew zatuszowywały się i rozpływały w ogólnem tle. Nad głowami myśliwych z chrapliwem kwakaniem, przemknęła się para kacza, dążąc w kierunku rzeki.

— A panienka to musi jeszcze słonki i nie zabiła? — zapytał z cicha Klimuk.

— A tak, nie byłam nawet nigdy na polowaniu. Strzelałem dotychczas tylko do wron i srok w parku. —

Gdy domawiała tych słów — w luce pomiędzy drzewami mignął szary, rozskrzydlony cień.

— Ot, była jedna, — szepnął Klimuk, — ale daleko. Nu taki uważać trzeba, wraz ich tu więcej będzie. —

I nie omylił się stary leśnik. Do ogólnego chóru przyrody, w którym na czoło wybijały się trele drozda i dalekie, drżące warczenie kszyka — dołączył się nowy dźwięk — jakieś dziwaczne chrapanie, zakończone gwizdnięciem. Klimuk chwycił Jankę za rękę.

— Leci, panienko, uważać prosza. —

Wolno, zrzadka machając skrzydłami, nadciągnęła słonka. Buchnął strzał. Ptak, złamany w locie, uderzył gdzieś ciężko o namokłą ziemię. Leśnik skoczył w zarośla. W tej chwili jeszcze dwie słonki przemknęły w oddali. Serce Janki biło przyśpieszonym rytmem. Czy znajdzie? Chęć zdobycia upragnionego trofeum zawładnęła całem jej jestestwem. Ach Boże, żeby tylko znalazł! Sekundy wyczekiwania ciągnęły się, jak wieki. Ale oto po kilku minutach wśród białych pni brzóz, wyróżniających się w mroku, mignęła ludzka sylwetka.

— Jest, panienko! —

W słowach tych zawierała się cała radość oddanej dziewczęciu duszy leśnika i całe dla niej uznanie. Uczucie ulgi wypełniło jej serce. Rzuciła się ku Klimukowi.

— Dziękuję wam, Klemensie, bardzo dziękuję. —

Twarz jej pokryły rumieńce. Jakaś dziwna, niewysłowiona radość owionęła ją swem tchnieniem. Czuła się bardzo szczęśliwą. Był to może najradośniejszy moment w jej życiu. I w chwili tej zmalały i usunęły się w jakąś dal wszystkie inne, tak niedawne jeszcze wrażenia z minionego karnawału i balików. Nawet szkolne miłostki wydały się jej obecnie jakieś banalne, czy może poprostu głupie. Urok polowania całkowicie nią zawładnął. Oparła się ramieniem o pień brzózki i marzyła. A daleko, na smudze granatowego nieba nad trybą leśną, ciągnęły jeszcze słonki.

Tymczasem we dworze, przy herbacie, myślano tylko o niej. I spoglądając przez okno w dal, ku majaczącej w mroku alei topolowej, wiodącej w stronę lasu, obaj mężczyźni zadawali sobie jedno pytanie: Jak tam Janka: przyniesie, czy nie?

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



PRZYCZYNY GŁUCHOTY TOKUJĄCEGO GŁUSZCA.

W numerze 14-tym „Łowca Polskiego" z dnia 2-go kwietnia r. b. znajdujemy odezwę profesora dr. Kazimierza Wodzickiego do myśliwych z prośbą o nadsyłanie cietrzewi i głuszców do badań naukowych nad szatą godową wspomnianych ptaków i, o ile to dotyczy głuszca, nad ustaleniem przyczyny głuchoty jego w czasie pieśni.

Dziwić się doprawdy wypada, że podobna odezwa profesora Wodzickiego, umieszczona również na łamach „Łowca Polskiego" parę lat temu nie znalazła należytego oddźwięku wśród ogółu myśliwych, którzy powinni być wdzięczni prof. Wodzickiemu, że, dla wzbogacenia naszej ubogiej fachowej literatury łowieckiej, podjął się tego zadania. Nie dziwię się, że myśliwy, dla którego upolowany przezeń głuszec stanowi rzadkie trofeum, nie śpieszy z ofiarowaniem go, nawet dla celów naukowych, nie mogę jednak zrozumieć, że myśliwi, którzy zabijają po kilkanaście sztuk i więcej co rok, nie mogą zdobyć się na taką drobną ofiarę.

Jeżeli podjąłem się ujęcia poruszonej przez prof. Wodzickiego sprawy w formie artykułu, to dlatego jedynie, by odezwa, po raz drugi umieszczona, nie pozostała tym razem bez echa, zwłaszcza, że obecnie jest najodpowiedniejsza po temu pora, a ponadto, by wzbudzić pewne zainteresowanie ogółu my-

śliwych dla poruszonego tematu. Rzeczą ciekawą jest, że sprawa głuchoty tokującego głuszca nie doczekała się dotychczas definitywnego rozstrzygnięcia, co mianowicie ją powoduje, pomimo, że istnieją na ten temat dość liczne prace naukowe, zwłaszcza w literaturze obcej. Nie od rzeczy, sądzę zatem, będzie, jeżeli postaram się streścić wyniki dotychczasowych badań i wnioski, do jakich rozmaici ludzie nauki, bądź tylko myśliwi — w sprawie głuchoty głuszca podczas pieśni godowej doszli. Śpiew u ptaka, podobnie, jak i u człowieka, jest wyrazem zdrowia i radości życia, ponadto ptakom służy śpiew do wzajemnego wabienia się w czasie godowym. Ponieważ okres godowy przypada na wiosnę, kiedy wszystko, co żyje najwięcej sił żywotnych posiada, trudno jest przypuścić, by spotęgowana w tym okresie działalność organów płciowych mogła u głuszca do tego stopnia ujemnie oddziaływać na pozostałe organy, że powodowałaby przytępienie słuchu. Że głuszec tokujący do pewnego stopnia upaja się swoją własną pieśnią, zdawałby się dowodzić tego fakt, iż głuszec nie spływa natychmiast do pojawiającej się pod nim na ziemi kury, lecz tokuje dalej, często bardzo długo nawet, i dopiero gdy się nagra, spływa do kur na ziemię. Tego upajania się własną swoją pieśnią i towarzyszącego zaniku słuchu w pewnych momentach nie można jednak identyfikować z objawem, często spotykanym u rozmaitych zwierząt, tak zwanem zacietrzewieniem, które chwilowo czyni je obojętnemi na to, co się naokoło nich dzieje, podobnie, jak to bywa u ludzi roztargnionych, którzy zajęci swemi myślami, nie słyszą, gdy się do nich mówi, gdyż w tych wypadkach w grę wchodzi li-tylko uwaga, a nie chwilowe zatracanie zdolności wzroku lub słuchu.

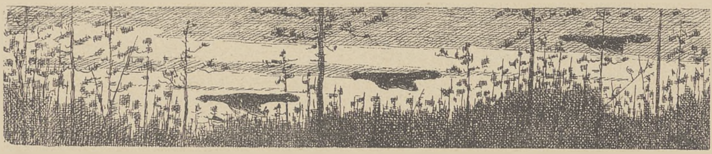
Jest rzeczą trudną do wiary, by ptak tak ostrożny, jakim jest głuszec, mógł do tego stopnia upoić się swą pieśnią, by bez istotnego, chwilowego zatracenia zdolności wzroku lub słuchu pozostawał obojętnym na grożące mu niebezpieczeństwo, bodajby przez krótki moment tylko. W grę tu wchodzić zatem, zdaje się, muszą przyczyny natury anatomiczno-fizjologicznej.

O ile do dotyczy wzroku, to stwierdzone zostało, że tokujący głuszec, o ile tylko ma zupełne zaufanie do otaczającej go najbliższej okolicy, wówczas podczas szlifowania zdarza się, że zamyka zupełnie powieki lub je przymyka, nie czyni tego natomiast nigdy, gdy ma jakiekolwiek wątpliwości pod względem bezpieczeństwa. Pewne ograniczenie pola widzenia podczas szlifowania spowodowane może być i tem także, że głuszec w tym momencie zadziera głowę do góry. Tyle co do wzroku — sprawa ewentualnych przyczyn, powodujących przytępienie słuchu jest natomiast o wiele więcej skomplikowana i w związku z tem o wiele trudniejsza do ustalenia.

Nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że podczas szlifowania następuje silny dopływ krwi do głowy, podobnie, jak np. u człowieka, grającego na trąbce. Ten gwałtowny dopływ krwi do głowy wywołuje jednocześnie chwilowe nabrzmienie i zwężenie skutkiem tego kanałów usznych, a że podczas szlifowania dziób jest szeroko otwarty, więc istnieje możliwość tem większego zwężenia kanałów usznych wskutek wywierania pewnego rodzaju ucisku na błony uszne przez tylną część szczęki dolnej, zwanej processus angularis. W tym względzie robione były liczne doświadczenia przez rozmaite powagi naukowe, a otrzymane rezultaty były nieraz wręcz sprzeczne. Doświadczenia polegały na tem, że do kanałów usznych głuszca wkładano czopki z wosku lub innych podobnych materjałów i następnie przez otwieranie dzioba sprawdzano w jakim stopniu processus angularis może wywrzeć nacisk na kanały uszne, względnie na wkładane do wewnątrz ucha woskowe czopki. Jedni robili te próby na głuszcach — natychmiast po ich zabiciu, inni na głuszcach — po upływie pewnego czasu po ich zabiciu, czem zdaje się objaśniać ta różnorodność w wypowiadanych na zasadzie dokonanych doświadczeń wnioskach. Rzeczą jasną jest, że owe chwilowe nabrzmienie i zwężenie kanałów usznych jest możliwe tylko w samym momencie szlifowania i że wywieranie ucisku na błony uszne przez processus angularis przy szeroko otwartym dziobie jest tylko w tym momencie możliwe. Wszystko zdaje się przemawiać za tem, że rezultaty prób będą zawsze zależne od tego, jak szybko po zabiciu głuszca próby będą dokonywane i nie dadzą one chyba nigdy absolutnej pewności, gdyż nawet najkrótszy czas od chwili zabicia głuszca może być wystarczający, by obrzmienie i zwężenie kanałów usznych znikło.

Gdyby jednak nawet badania głuchoty głuszca podczas toków nie miały dać definitywnych wyników, to w każdym razie pozostaje tyle jeszcze innych szczegółów, dotyczących głuszca, niedostatecznie wyświetlonych, jak np. ustalenie wieku, że w każdym razie zamierzenia profesora Wodzickiego zasługują na jak najdalej idące poparcie ze strony myśliwych.

STANISLAW KAMOCKI.



POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH W POZNANIU W ROKU 1932*).

(Dokończenie).

Zdobywcą drugich co do jakości rosoch (fot. 4) jest nasz słynny śpiewak, p. Jan Kiepura, który w czasie swego ostatniego pobytu w Poznańskiem ubił tego pięknego łopatacza w dniu 28.1. r. b., u hr. J. Mielżyńskiego w Iwnie.

3. ROGACZE.

Dokladny przegląd premjowanych parostków rogaczy pod względem ich wymiarów przedstawia następujące zestawienie:

L. p.	Wystawca	Przeciętna długość lodyg cm	Waga parostków gr	Wyporność parostków cm³	Punktów	Nagroda W. Z. M
1	Tschuschke z Mianowic	22,5	440	220	111	Złoty m. I
2	Szulczyński	23,5	410	185	109	Złoty m. II
3	Kpt. Degórski	25,5	390	180	104	Srebrny m. I
4	Friske z Sokołowa	24,5	390	170	103	Srebrny m. II
5	Świgoń z Kórnika	25,5	490	145	99	Srebrny m. III
6	Mietz z Poznania	26,5	370	170	98	Srebrny m. IV
7	Skrzydlewski z Nowejwsi	25	405	165	98	Srebrny m. V
8	Hr. Czarnecki z Bugaja	24,5	310	145	90	Bronzowy m. I
9	Sarrazin z Tulc	25	360	130	89	Bronzowy m. II
10	Ppłk. Chłapowski	23,5	255	140	87	Bronzowy m. III
11	Niegolewski	26	380	150	85	Bronzowy m. IV
12	Ppłk. Chłapowski	23,5	290	135	84	Bronzowy m. V
13	Zakrzewski	22,5	275	145	82	Bronzowy m. VI

Nagrodzone pierwszą nagrodą parostki rogacza, ubitego 14.8. 31 przez p. Tschuschkego w Morawinie (fot. 5), są niebywale masywne, lecz, wskutek niezbyt rozwiniętych odnóg, oraz niewyraźnie zarysowanych pereł, pod względem piękna ustępują niektórym innym. Parostki rogacza, ubitego 26.9. 31 r. w Nekelce, przez p. Szulczyńskiego (fot. 6), odznaczone drugą nagrodą, wyróżniają się wielkością swych róż, których obwód razem wynosi aż 26 cm. Szereg innych parostków rogaczy, nie posiadających wymaganej do uzyskania najwyższych nagród ilości punktów, pomimo tego przykuwa naszą uwagę pięknością swej formy i może być z tego powodu zaliczony również do pierwszorzędnych eksponatów. Z takich przytoczę tu tylko, z pośród wielu innych bardzo ładnych, parostki rogacza, ubitego przez p. Mietza. Odznaczają się one, poza innemi zaletami, rzadko widywaną długością odnóg, dochodzącą np. u odnogi ocznej do 12 cm. Zbiór pierwszorzędnych parostków rogaczy zdobi kilka ciekawych parostków rogaczy-myłkusów, z pośród których wymienię pięknie uperlonego i szlachetnej formy rogacza dziesiątaka, wystawionego przez p. Wallmanna z Piotrowa, mocnego myłkusa, ubitego w Starem przez p. dr. Sonnenburga z Tarnowa i w końcu ciekawego myłkusa o wielkiej ilości końców, wystawionego przez p. prezesa ppłk. Chłapowskiego. Konsul czechosłowacki w Poznaniu, p. dr. Doleżal, daje kilka parostków rogaczy, ubitych przez siebie w Czechach.



Fot. 4 — Fot. inż. Przybylski

4. DZIKI.

Pokaz tegoroczny obesłano kilku parami dobrych szabel dziczych, zdobytych w ubiegłym sezonie, w łowiskach wielkopolskich. Pierwszą nagrodę w tej grupie otrzymał p. Wallmann w Piotrowa. Dalszemi nagrodami za szable obdarzono pp. Seifartha, Maciejewskiego i prezesa Mravincsicza.

5. GŁUSZCE.

Kilka okazów głuszców, upolowanych w dalekich łowiskach kresowych przez łowców wielkopolskich, upiększyło tegoroczną wystawę. Nagrody za głuszca uzyskali: medal złoty—p. prezes Mravincsicz za bardzo mocnego głuszca, zdobytego w nadl. Styrskiem, oraz p. Maciejewski — medal bronzowy.

*) Na str. 290 „Łowca Polskiego", w tabeli, tytuł rubryki 6-ej od lewej strony winien brzmieć: „między odnogą średnią a koroną lodygi", nie zaś „korzeniem lodygi". — **Przyp. red.**

Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych należy się wdzięczność za to, że nie szczędząc pracy i środków urządza corocznie tego rodzaju pokazy. Tego rodzaju przeglądy wyników hodowlanych dają niewątpliwie bodźca do zwiększenia zabiegów w kierunku podniesienia jakości szlachetnej zwierzyny naszych łowisk. Życzyćby tylko należało, aby liczba myśliwych naszych, popierających te pokazy, bądź to przez nadsyłanie swych pięknych trofeów, bądź też przez gremjalne zwiedzanie wystawy, z roku na rok znacznie wzrastała.

Inż. B. PRZYBYLSKI *).

Z DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

Sprawą, której ostatnia (2-ga) serja M. R. Ł. poświęciła najwięcej uwagi, było zagadnienie ochrony zwierzyny skrzydlatej. Na 16 wygłoszonych referatów, większość, bo 9, dotyczyła tego właśnie zagadnienia, a w wyniku powołana została do życia specjalna Komisja stała (Commision permanente), mająca za zadanie: „zbadanie środków, które mogłyby być zalecone poszczególnym krajom, celem urzeczywistnienia życzeń, wyrażonych przez referentów, a dotyczących polowania na słonki, przepiórki, ptactwo morskie, nadbrzeżne i błotne, a w szczególności daty otwarcia i zamknięcia tych polowań, w zależności od warunków klimatycznych i meteorologicznych".

Komisja ta, w której skład weszli przedstawiciele Austrji, Belgji, Francji, Grecji, Jugosławji, Luksemburga, Niemiec, Rumunji, Węgier i Włoch — odbyła pierwsze posiedzenie w dn. 21 stycznia r. b. i zajęła się uchwałą Rady, sformułowaną w sposób następujący: „Polowanie na słonki, przepiórki oraz ptactwo morskie, brzegowe i błotne ustaje z chwilą rozpoczęcia okresu gnieżdżenia się w tych krajach, gdzie ono ma miejsce".

Uznając całkowitą słuszność tej uchwały, Komisja nie mogła przyłączyć się do propozycji Międzynarodowego komitetu ochrony ptaków, powziętej na sesji lipcowej w r. 1931 w Paryżu, a głoszącej zasadę, iż „okres polowań na ptactwo wędrowne powinien być stopniowo zmniejszany, a w każdym razie polowanie na nie powinno być bezwzględnie wzbronione w okresie rozmnoży w miejscach gnieżdżenia się i podczas podróży do tych miejsc". O ile bowiem słusznemi są pierwsze dwa żądania, o tyle ostatnie, dotyczące wzbronienia polowania na ptactwo w okresie przelotów — stanowiłoby niczem nie usprawiedliwione skrępowanie myśliwych prawidłowych, używających jedynie strzelby, i przyrównanie ich do tępicieli zwierzyny zapomocą sieci i sideł. Przeloty odbywają się przeważnie w nocy, w dzień zaś — na znacznych wysokościach, o poważniejszych przeto stratach dla zwierzyny przy użyciu strzelby nie może być mowy.

Z uwagi na powyższe, oraz po zaznajomieniu się z ustawodawstwem łowieckiem rozmaitych krajów, Komisja uznała za możliwe zaproponować, aby czas zamknięcia polowań ze strzelbą na ptactwo morskie, brzegowe i błotne ustalić na połowę kwietnia. Co się tyczy słonki, to z uwagi na wpływ, jaki wywiera klimat oraz wzniesienie nad poziomem morza na czas i na kierunek przelotów tej zwierzyny, Komisja odroczyła uchwałę do czasu zebrania bliższych danych, aczkolwiek uważa, że w każdym razie polowanie na słonki powinno być również zamknięte w pierwszej połowie kwietnia. W stosunku wreszcie do przepiórki uznano za słuszne przyrównanie jej do zwierzyny równinnej osiadłej, dla której w większości państw ustalono termin zamknięcia polowań z początkiem stycznia.



Fot. 5. Fot. inż. Przybylski.

Z pokazu trofeów W. Z. M. w Poznaniu.

Z inicjatywy myśliwych szwedzkich M. R. Ł. utworzyła specjalną Komisję dla omówienia spraw, związanych z ochroną łosia. Komisja ta, do której weszli przedstawiciele łowiectwa Estonji, Finlandji, Litwy, Łotwy, Niemiec, Norwegji, Polski i Szwecji, a zaproszeni będą również przedstawiciele łowiectwa Rosji, zbierze się w dn. 21 i 22 maja r. b. w Berlinie (lub w Królewcu) i, stosownie do programu sesji, przedłożonego przez M. R. Ł., obradować będzie nad sprawami następującemi:

1. Otwarcie posiedzenia przez prezesa M. R. Ł. i wybór przewodniczącego i sekretarza Komisji.

2. Odczytanie referatów, nadesłanych przez członków nieobecnych.

3. Wysłuchanie referatów, wygłoszonych przez osoby obecne.

*) W poprzedniej części sprawozdania mylnie wydrukowano literę imienia p. inż. B. Przybylskiego. — **Przyp. red.**

4. Zaznajomienie się z ustawami, regulującemi polowanie na łosie i sposoby jego ochrony; wyniki praktycznego ich stosowania, proponowane zmiany.

5. Opieka nad łosiem, hodowla, otrzymane wyniki.

6. Środki, które powinny być stosowane przez poszczególne kraje celem ochrony łosia na terenach granicznych.

7. Sposoby podniesienia rasy u łosi.

8. Organizacja międzynarodowych wystaw, dotyczących łosia.

9. Wnioski wolne i wybór czasu i miejsca następnego zgromadzenia Komisji.

Ze strony polskich organizacyj łowieckich wezmą udział w Komisji pp.: K. Chłapowski, J. Gieysztor, M. hr. Potocki i w charakterze gościa — K. ks. Radziwiłł.

J. G.



Z BIAŁOSTOCKIEGO.

Po sześcioletniem prawowaniu się, w lecie roku ubiegłego objąłem w posiadanie rodzinny majątek Tylwicę, skonfiskowany w 1863 r. stryjowi mojej żony, za udział w powstaniu.

W liście tym nie mam zamiaru rozwodzić się nad zniszczeniem majątku, po tyloletnim procesie, chcę natomiast podzielić się wiadomościami z tego zakątka kraju, o zwierzostanie i o kłusownictwie, jakie tu się panoszy.

Las tylwicki na całej swej przestrzeni graniczy z dużym kompleksem lasów zabłudowskich. Przez całe lato trzymały się w Tylwicy dwa łosie, które teraz wywędrowały. Dzików kręci się 7 sztuk, lecz również niestałych, sarn trochę, nie więcej, niż 30 sztuk, lisów sporo, w świerkowym rewirze trochę jarząbków, cietrzewi dużo, zajęcy b. mało. Plagę stanowią wilki, których gniazdo z 5 sztuk wywiodło się na moim terenie. Tępią one sarny, porywają chłopom owce, rżną świnie i chwytają psy wiejskie, przyczem uprawiają podstępną strategję: jeden wilk odgryza się psom, udaje słabego, cofa się, gdy te nacierają, i stara się odprowadzić je od budynków, a wtedy pozostałe zachodzą psom z tyłu i momentalnie się z niemi rozprawiają.

Większą plagę, niż wilki, stanowią kłusownicy. — W Zabłudowszczyźnie, administrowanej energicznie przez bar. Manteufla, wobec licznej straży leśnej, wyjątkowo tylko odważają się polować. Lasy Hieronimowa, własności bar. Ramm, oraz Majówka — pułk. Kawelina, również są dobrze strzeżone, wszyscy zatem okoliczni kłusownicy obrali sobie Tylwicę, jako teren, nie tyle może dania ujścia żyłce myśliwskiej, ile zdobycia mięsa. Co dziwniejsze, choć przetrzebiona i ciągle niepokojona, jednak tych terenów zwierzyna się jeszcze trzyma. Opowiadano mi, że dwa lata temu, grupa myśliwych okolicznych, która otrzymała pozwolenie od dzierżawcy na zapolowanie w lesie tylwickim, spotkała się tam z inną grupą — kłusowniczą. W rezultacie doszło do wymiany strzałów i zaproszeni myśliwi haniebnie podali tył.

Gdym w sierpniu roku ubiegłego, zaraz po objęciu majątku w posiadanie, zawiadomił przez sołtysów wsie okoliczne, że w razie napotkania kłusownika w lesie, straż leśna zrobi użytek z broni, — bezpośrednim rezultatem tego była naganka pięciu kłusowników na mego gajowego i ten, tylko dzięki zapadającemu mrokowi, salwował się ucieczką, przyczem, jak twierdził, ostrzelali go ze wszystkich stron.

Nie wierząc w te opowiadania, w niedzielny, październikowy poranek roku zeszłego wybrałem się z dwoma gajowymi do lasu. Nim doszliśmy, już kilka strzałów usłyszałem. Skradając się, gdym doszedł do duktu, ujrzałem na linji 9 ludzi z bronią w ręku, a sądząc z poświstywań, musiało być przynajmniej dwukrotnie więcej naganiaczy. Gdy mnie zobaczyli, momentalnie rzucili się w las. Poleciłem jednemu gajowemu przebiec pędem kwartał i stanąć na następnym dukcie, sam zaś, z bronią gotową do strzału, pobiegłem w kierunku, w którym kłusownicy uciekali. Wprawdzie tupot nóg słyszałem, kilka strzałów na postrach dałem, ale zobaczyć, a temwięcej ująć, żadnego się nie udało.

Po chwili usłyszałem strzał z fuzji i dwa rewolwerowe. Okazało się, że dwóch kłusowników niosło na drążku zabitą sarnę, trzeci zaś z bronią eskortował ich. Gdy na dukcie zobaczył gajowego, strzelił do niego z flinty, ten zaś odpowiedział mu dwa razy z rewolweru, lecz również bez skutku, z uwagi na odle-



Fot. 6. Fot. inż. Przybylski.

Z pokazu trofeów W. Z. M. w Poznaniu.

głość powyżej stu kroków. O fakcie tym zawiadomiłem niezwłocznie p. starostę, który wydał najsurowsze zarządzenie zabłudowskiemu posterunkowi policji w kierunku wyśledzenia sprawców, — dotąd jednak bez rezultatu, chociaż w jednej tylko wsi Wielkie Folwarki, jest podobno około 50 szt. ukrytej broni. Ludność miejscowa, w 90% prawosławna, ma bardzo liczny element przestępczy. Wymieniano mi w tychże Wielkich Folwarkach, ile który lat siedział w kryminale i za jakie sprawki. Są między nimi tacy, którzy mają na swem sumieniu cały szereg mordów i to są właśnie czołowi kłusownicy. Przekonany, że nie ukrócę kłusownictwa przy miejscowej straży, skoligaconej z miejscową ludnością, sprowadziłem strzelca Polaka i natychmiast zaobserwowałem dodatni rezultat, bo strzałów nie słychać. Z chwilą opadów śnieżnych, zaczęła się walka z drugą plagą — wnykarstwem. Kuropatw w Białostockiem jest naogół niewiele. Narew stanowi niejako linję demarkacyjną: na lewym brzegu jest ich sporo, a na prawym przy tych samych warunkach terenowych, już znacznie mniej. Stosunek władz administracyjnych do łowiectwa zaobserwowałem jako życzliwy, temwięcej, że p. wojewoda Zyndram Kościałkowski, zamiłowany myśliwy, jak miałem możność przekonać się, idzie delegatom powiatowym jak najchętniej na rękę w dążeniu do poprawy zwierzostanu.

J. BŁESZYŃSKI.

Z TOWARZYSTWA HODOWLI PSÓW MYŚLIWSKICH.

Field-trialsy dla psów myśliwskich angielskich ras wyznaczono na dz. 3 maja r. b.

Próby odbędą się w maj. Wilanów hr. Branickiego. Punkt zborny na st. Wilanów o godz. 8 rano.

Sędziowie: pp. I. Grymiński, B. Przychodźko i A. Śliwiński.

Zgłoszenia psów i wpisowe po 10 zł. do klasy młodzieży i klasy otwartej przyjmuje sekretarz prób, p. K. Kamieński w „Łowcu Polskim" — Nowy Świat 35, tel. 607-98.

POLSKI ENGLISH SETTER - KLUB.

Pierwszy field-trialsy dla psów myśliwskich angielskich ras wyznaczono na dzień 8 maja r. b.

Nagrody w klasie młodzieży:

1) „Derby" Polskiego English Setter-Klubu 1932 roku — dla zwycięzcy klasy młodzieży niezależnie od rasy.

2) Nagroda imienia H. Grodzkiego — dla najlepszego settera angielskiego w klasie młodzieży.

Klasa otwarta:

1) Nagroda „Otwarcia" Polskiego English Setter-Klubu imienia S. Piłsudskiego — dla zwycięzcy w klasie otwartej niezależnie od rasy.

2) Nagroda imienia p. S. Leśniewskiej — dla najlepszego settera angielskiego w klasie otwartej.

Sędziowie pp.: I. Grymiński, K. Kamieński, B. Przychodźko i A. Śliwiński.

Zgłoszenia i wpisowe po 10 zł. do każdej klasy przyjmuje p. Kamieński w „Łowcu Polskim" — Nowy Świat 35, tel. 607-98.

Zamknięcie zapisu psów dn. 2 maja r. b.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— k. — W dniach 28 i 29 grudnia roku ub. odbyło się polowanie w przepięknej kniei posła Jana Choińskiego-Dzieduszyckiego w Jabłonowie na Podolu, przy współudziale marszałka senatu Raczkiewicza i wicemin. generała Fabrycego, w 12 strzelb. Pomimo czarnej stopy i złej aury, zabito: 15 dzików, 17 lisów i 170 zajęcy.

Polowanie wzorowo prowadził nadleśniczy, p. inż. Włodkowski.

— W ubiegłym sezonie na terenach Oficerskiego Klubu Myśliwskiego 1-go Pułku Strzelców Konnych w Garwolinie zabito: 690 kuropatw, 1 cietrzewia, 209 zajęcy, 1 lisa i 2 jastrzębie.

—m— W maj. Hołubie (pow. hrubieszowski) wł. p. Eustachego Swieżawskiego, na obszarze około 3.000 ha terenów własnych i dzierżawionych ubito w 1931 roku: 6 dzików, 9 rogaczy, 76 zajęcy, 16 bażantów, 32 kuropatwy, 25 kaczek, 16 szt. ptactwa błotnego, 1 orła; drapieżników: 13 lisów, 16 łasic, 51 psów, 38 kotów, 45 jastrzębi, 158 wron i srok.

— W dn. 2.I r. b. odbyło się polowanie w Myśliborzu u pp. Tadeuszostwa Chmielewskich. Przy pięknej pogodzie w 12 strzelb ubito 120 zajęcy, widziano dużo kuropatw i kilkanaście sarn. Królem polowania był p. H. Bronikowski.



Oględziny. Z polowań w Gościeradowie. Fot. M. Hofman.

— 9.I r. b. u p. posła Mieczysława Jakubowskiego odbyło się doroczne leśne polowanie. W 14 strzelb ubito 2 lisy, cietrzewia, kilkanaście królików i reszta zające, razem 122 sztuki. Królem był p. Waliński, drugim z kolei p. B. Jakubowski.

— 11 i 12.I. r. b. w dobrach Ruda Maleniecka w 14 strzelb ubito w lesie 2 lisy, 10 bażantów, cietrzewia koguta, parę królików i reszta — zające, razem sztuk 256. Królem polowania był hr. E. Plater, drugim p. B. Jakubowski.

— 14.I r. b. w Sokołowie, u braci Adama i Tadeusza Kanigowskich, na dorocznem polowaniu w 8 strzelb ubito 126 sztuk w tem 1 lis i 1 cietrzew kogut. Pomimo nieurodzaju zajęczego w naszych stronach polowanie wypadło dzięki fachowej opiece doskonale, widziano falangi kuropatw, a moc zajęcy i królików uchodziło z życiem lub bez strzału.

Królem polowania był p. Tadeusz Jakubowski z Fałkowa, drugim p. Bolesław Jakubowski.

— W Jarzębinie i Okołowicach, niespełna 2000 mg w piotrkowskiem) staramy się od 3 lat o racjonalną gospodarkę łowiecką, czego wyrazem są cyfry odstrzelonej zwierzyny łownej, wzrastające konsekwetnie (w r. 1929 — 429, w r. 1930 — 549, a w r. 1931 — 793 sztuki).

Na kuropatwy polowano od 6 do 15.IX bardzo oględnie z doświadczonym gryfonem „Bekasem", przeważnie w 2 strzelby. Padło w tym czasie 346 sztuk. Doroczne polowanie na zające odbyło się 30.XI, więc strzelano również do kuropatw. W 9 strzelb i 100 naganki podnieśliśmy 186 zajęcy, 14 kuropatw i 7 królików, t. j. 207 sztuk. Królem polowania był p. Paweł hr. Potocki z 31 sztukami. W kotle centralnym padło 72 zające. W ciągu r. 31 strzelono razem: kaczek 11, kulików 4, kuropatw 500, przepiórki 2, zajęcy 188, królików 72, kwiczołów 12, jemiołuszek 4, — czyli razem 793 sztuki. Szkodników strzelono 29, sideł zabrano 230.

Rozwój polowania i coraz lepsze wyniki zawdzięczamy zamiłowaniu do hodowli i energicznej opiece ze strony p. inż. Ludwika Sędzimira

Dr. B. Woyciechowski.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

CUKIER KRZEPI.

W swoim czasie z zapałem oddawałem się turystyce. Zwłaszcza Tatry były ulubionym terenem moich wycieczek. Przyznam, że lubiłem wędrować właśnie sam. Wtedy nikt mi nie mącił „ciszy i majestatu gór", według znanej wycieczki Sekcji Ochrony Tatr T. T. — szedłem, jak chciałem i gdzie chciałem. Ta samotność, gdzieś wśród rozpadlin skalnych, na jakichś odludnych i mało uczęszczanych przez turystów przełęczach, dawała poprostu otchłań wrażeń, — niczem niezastąpionych. Człowiek zapadał w góry i siedział, jak długo mógł.

Oczywiście do uroków turystyki w bardzo małym stopniu przyczyniał się ciężki worek, który trzeba było dźwigać. Stopniowe opróżnianie go z prowiantu było niemałą satysfakcją — choć z drugiej strony, wyczerpanie ich zmuszało zbliżać się do siedzib ludzkich, no i czynić zakupy, skąd płynęło i nowe obciążenie.

Pamiętam właśnie taki moment w dolinie Koprowej. Wypróżniłem wszystko. Głód zmuszał do powrotu. Nie było rady. Po nocy, przespanej w leśniczówce, wstąpiłem jeszcze do Niewcyrki, a stamtąd ruszyłem do Zakopanego. Licho jakieś skusiło mnie parę razy zboczyć raz w jedną, drugi raz w inną stronę, dość, że w pewnej chwili zegarek już począł alarmować na odwrót.

Szybko wdzieram się na Zawory, okrążam dolinę Cichą, oto już Liljowe. Droga prosta, o jakichkolwiek trudnościach niema mowy. Spieszę, ile sił starczy. I oto nagle czuję, że poczynam słabnąć. Co do licha? Choroba górska? Nigdy jej dotąd nie odczuwałem. Pociągnąłem wody z manierki raz i drugi. Nic nie pomaga. W pewnej chwili czuję się już tak osłabiony, że poprostu tracę wiarę w możność dobrnięcia do przełęczy. Głód. Wyraźnie go nie czuję— ale czczość mi jakaś dokucza. Począłem przeszukiwać worek i znalazłem kilka kawałków cukru.

Omal, że nie wyrzuciłem ich w napadzie złości — ale, jakoś mimowoli włożyłem do ust jeden, drugi i trzeci. W ciągu niespełna 3-ch minut postawiło mnie to na nogi. Minęło wszystko — słabość, czczość, zawrót głowy, jakoteż ziębnięcie. Znalazłem się odrazu w formie.

Reszta drogi szła już daleko łatwiej. Wtedy to nauczyłem się zabierać na wycieczki cukier — w możliwie dużych ilościach. Przekonałem się, że rolę odżywki spełnia on doskonale, a bodaj o wiele lepiej, niż osławiona czekolada, której zresztą smakowitości i pożytkowi bynajmniej nie chcę przyganiać.

— x. —

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.